

RAFAŁ KOSIK

MARS



powergraph

Warszawa 2022

Copyright © 2002-2022 by Rafał Kosik
Copyright © 2002-2022 by Powergraph
Copyright © 2022 for the cover by Jan Kosik
Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Redakcja: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Korekta: Maria Aleksandrow
Skład i łamanie: Powergraph
Ilustracja na okładce: Jan Kosik
Projekt graficzny i opracowanie wnętrza: Rafał Kosik

Wydanie szóste, poprawione

Wyłączy dystrybutor:
Dressler Dublin Sp. z o.o.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl
www.dressler.com.pl



Wydawca:
Powergraph Sp. z o.o.
ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa
tel.: +48 22 834 18 25
powergraph.pl
e-mail: powergraph@powergraph.pl

ISBN 978-83-66178-65-6

Druk: Białostockie Zakłady Graficzne S.A.
Printed in Poland, EU

2040

Zimnoniebieskie słońce zapadało już za horyzont. Monotonie i spokój bezkresnej pustyni zakłócały trzy ustawione w trójkąt okręgi, o średnicy pięćdziesięciu metrów każdy. Krzątające się przy nich postacie w białych skafandrach wyglądały jak termity, drepczące wokół fundamentów swojego przyszłego domu.

Przekreśliła regulator ciągu i rozpoczęła hamowanie. Mały otwarty latacz zniżał lot, przymierzając się do lądowania w bazie, jakieś trzysta metrów dalej. Kilkanaście obłych kontenerów połączono korytarzami, wyższa kopuła chroniła główne pomieszczenia habitatu.

Ciemność zapadła w kilka minut. Teraz na czarnym, bezchmurnym niebie świetnie widoczne były gwiazdy. Tak mogło wyglądać niebo nad australijskim Interiorem czy nad Teksasem. Ale to miejsce nazywało się Utopia Planitia i od Teksasu dzieliło je w tej chwili sto milionów kilometrów. Bazę rozświetliły ustawione na wysokich rusztowaniach lampy, nadające wszystkiemu w zasięgu wzroku zjadliwie pomarańczowy odcień.

Latacz, trzeszcząc amortyzatorami i wzbijając chmurę pyłu, usiadł wewnątrz wyznaczonego okrągłego pola. Trzy

niewielkie dysze zamaryły i po chwili, stygnąc, zaczęły tykać – ledwo słyszalnie za sprawą rzadkiej atmosfery. Jedna z postaci krzątających się przy zabudowaniach uniosła rękę, pozdrawiając przybyłą. Kobieta odpowiedziała tym samym gestem, choć z tej odległości nie mogła rozpoznać twarzy ukrytej za szkłem hełmu.

Odpięła pas i lekko, jak tylko pozwalał jej gruby kombinezon, zeskoczyła na ziemię. Podeszła do dystrybutora stojącego opodal lądowiska, wyciągnęła jeden z grubych kabli, rozwinęła go i wpięła trzy końcówki do trzech gniazd w tylnej części kadłuba latacza. Zielona kontrolka zgasła, zapaliła się czerwona. W papierowym notesie, leżącym za przezroczystymi drzwiczkami dystrybutora, ołówkiem, przyczepionym łańcuszkiem do urządzenia, zapisała godzinę rozpoczęcia lądowania. Potem starannie zamknęła drzwiczki.

Przestawiła częstotliwość radia na główny kanał.

— ... *raz zacina się trakcja w trójce* — usłyszała.

Rozejrzała się, ale przecież rozmówca mógł być nawet po przeciwnej stronie bazy. Już w pierwszym tygodniu prac wysiadła udawana stereofonia, pozwalająca określić przynajmniej kierunek, z którego dochodzi sygnał. Nikt nie potrafił tego naprawić.

— *Rozbieramy i jeszcze raz przeglądamy śrubkę za śrubką* — odpowiedział inny głos. — *Nie wyobrażam sobie nawet, co będzie, jak za tydzień albo za miesiąc to się zatnie.*

Z poziomu ziemi widać było, że trzy wznoszone właśnie okrągłe budynki osiągnęły już kilkanaście metrów wysokości. Na krawędzi pierwszego z nich leżał podłużny ciemny kształt ucepiony ścian dwiema solidnymi łapami. Po drabince, ledwo widocznej z tej odległości, wolno wspinał się w jego kierunku człowiek w krępującym ruchu skafandrze. Dotarł do maszyny i otworzył pokrywę. Wgramolił się wyżej, schował się we wnętrzu do połowy. Zapewne to on mówił jednym z głosów.

Dalej, oddalone ze względów bezpieczeństwa o pół kilometra, stały trzy wrzecionowate rakiety, którymi za parę dni załogi wszystkich baz odlecą do domu. Zostawią planetę bezludną na dwa lata. W tym czasie, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, automaty, krążąc wokół rosnących okręgów, będą wylewać kolejne warstwy betonu, aż zbudują sześćsetmetrowe budowle – trzony wież elektrolitycznych. Po dwóch latach ludzie wrócą tu z nowym sprzętem i dokończą pracę zbyt już skomplikowaną dla maszyn. Wreszcie, po kilku sezonach prac, opuszczą Marsa na niemal sto lat. Kontrolowane reakcje nuklearne podgrzeją grunt, rozpoczynając proces zmiany klimatu i uwalniania wody, uwiecznionej dotychczas wiele metrów pod powierzchnią. Roztopią się czapy polarne, co uwolni do atmosfery jeszcze więcej wilgoci i dwutlenku węgla, doprowadzając do gwałtownego efektu cieplarnianego.

Setki podobnych wież elektrolitycznych będą pracowicie przechwytywać wilgoć i produkować tlen, by pierwsi osadnicy mogli odetchnąć czystym powietrzem. Zamiast pustyni przywitają ich zarośnięte stopy i zielone od porostów skały.

Lasy będą już musieli zasadzić sami, a morza... na morza trzeba będzie zaczekać znacznie dłużej.

Jaka przyszłość nas tu czeka?, pomyślała.

Odpowiedzią był wrzask, wypełniający wnętrze hełmu. Drgnęła i rozejrzała się, próbując odszukać źródło dźwięku. Krzyk zmienił częstotliwość, co oznaczało rozszczelnienie skafandra, po czym ucichł zduszonym jękiem i metalicznym zgrzytem. Teraz słychać było tylko monotonne szuranie i terkot. Dźwięk, bez kierunku i odległości, trwał zawieszony, to nasilając się, to słabnąc. Zdawał się dochodzić od strony raket, chwilę potem z habitatu, to znów od budowy.

Im mocniej się wsłuchiwała, tym wydawał się bardziej obcy, nieludzki. Poczwała na plecach nieprzyjemne ciarki. Obejrzała się – tuż za barakiem magazynowym zaczynała się pustynia. Krzyk mógł dochodzić skądkolwiek, więc i stamtąd.

Wyobraziła sobie maszyny kroczące z *Wojny światów* Wellsa, które idąc przez pustynię w stronę bazy, szurają w piasku i terkoczą gwintowanymi tulejami gigantycznych kończyn. Irracjonalnie czekała, aż wejdą w zasięg pomarańczowego światła.

Technicy, poprawiający instalację hydrauliczną przy zabudowaniach bazy, stali zdezorientowani. Pod jedną z raket trzy osoby gestykulowały, zetknęły się hełmami, aby się porozumieć bez radia. Mechanik na jednej z wież wciąż grzebał we wnętrzu automatu – na zewnątrz wystawały tylko jego nogi.

— *Meldować się po kolei!* — głos przebił się przez szuranie.
— *Sekcjami. Pierwsza!*

Kolejne osoby rzuciły swoje nazwiska w kolejności alfabetycznej.

— *Druga!*

Znów kilka nazwisk.

Gdy zapadała cisza pomiędzy kolejnymi meldunkami, mikrofony wyłączały się, powracał zaś ów niepokojący dźwięk – ni to terkot, ni szuranie. *Szur, szur...*

— *Trzecia!*

Nazwiska, potem kolejne dwie sekcje i kolejne nazwiska. I znów szuranie. W okrągłych oknach bazy pojawiły się wystraszone twarze.

— *Martinez?*

Szur, szur, szur.

— *Martinez?! Odezwij się.*

Szur, szur, szur.

— *Martinez!!!*

Ktoś rzucił narzędzie i zaczął biec. Pozostali od razu ruszyli za nim.

Kobieta spojrzała za nimi. Nie wiedziała, kim jest Martinez ani gdzie go szukać – pracowało tu kilkaset osób. Powiodła wzrokiem w kierunku celu, do którego wszyscy biegli. Zaciśnęła zęby. Z wnętrza przesuwanego się powoli automatu, który pracował przy przyszłych wieżach, wystawały nogi. Nieruchome.

Ktoś wyłączył napęd. Terkot zwolnił i ustał. Wtedy pobiegła i ona.

Nie było maszyn kroczących ani Marsjan. To tylko zacinający się mechanizm i nieostrożny mechanik.

Układali go już na ziemi, gdy z trudem łapiąc oddech, dotarła na miejsce. Kombinezon był rozerwany w połowie klatki piersiowej, a wypływająca z niego krew od razu zamarzała. Górna część ciała należała już do północnej wieży.

Pogrzeb trwał krótko. Nie mieli czasu na uroczyste ceremonie. Kilkadziesiąt osób w zamyśleniu wpatrywało się zza złocistych szyb hełmów w niski kurhan. Potem wszyscy, jedno za drugim, odeszli. Od samego początku liczyli się z ofiarami, stanowiły część tej gry.

Ona została najdłużej. Żegnała człowieka, którego nawet nie знаła, a potem ruszyła w przeciwną stronę niż wszyscy. Miała jeszcze dość tlenu. Weszła niemal na szczyt jednej z wydm, by przed snem popatrzeć na nocnego Marsa. Zasapała się, choć ważyła tutaj mniej niż połowę tego co na Ziemi. Z niepokojem myślała o tym, co będzie, kiedy wróci do domu. Po zaledwie trzech miesiącach pracy tutaj odzwyczaiła się od własnego ciężaru.

Za plecami miała pracującą całą dobę bazę, przed sobą zanurzoną w bladym blasku gwiazd martwą pustynię, ciągnącą się przez tysiące kilometrów. Nie, nie do końca martwą – gdzieś tam jest przecież następna baza i dalej jeszcze następna. Obok każdej z nich rośnie, lub jest już wykańczana, wieża. Czasem dwie. Nie wiedziała, dlaczego układ trzech wież będzie tylko tu.

Gdzieś tam, setki kilometrów dalej, spoczywała sonda Viking 2 i wiele kolejnych. Nie próbowali ich szukać, zajmowali się czymś innym. Może za trzysta lat znajdzie się ktoś, kto będzie miał wystarczająco dużo czasu, żeby marnować go na fanaberie.

Żałowała, że nie dożyje narodzin nowego świata. Osiedli się tu dopiero piąte pokolenie. Będą ją oglądać na starych zdjęciach, pośród wielu innych anonimowych postaci. Żal przyszłych dni. Ale przecież tak samo myśleli jej przodkowie, zaczynający ten wyścig, i tak samo kolejne pokolenia będą myśleć o swoich następcach.

Odwróciła się i zrobiła pierwszy krok w dół, ale zatrzymała się. Wydało jej się, że widzi na sąsiedniej wydmie jakiś ruch. Zatrzymała się, oniemiała. Przeszył ją zimny dreszcz. Teraz widziała już wyraźnie – pięćdziesiąt metrów dalej stała dwójka dzieci. Kilkuletni chłopczyk obejmował starszą dziewczynkę, a ona przytulała go opiekuńczym gestem. Drugą ręką wskazywała odległy punkt na pustyni.

Kobieta, nie mogąc oderwać od nich wzroku, osunęła się na kolana. To musiał być odbłask! Złudzenie.

Dzieci nie miały skafandrów.

2305

1

Allen Ryan zajęty był zwracaniem obiadu do foliowej torebki.

Nie spodziewał się aż tak trudnych warunków. Nikt go nie uprzedził, że tu nie będzie sztucznego ciężenia. Dwa dni temu, po wyłączeniu głównego ciągu zapewniającego przyspieszenie półtora G, wszystko, łącznie z pasażerami, nagle uniosło się w powietrze. Kilkakrotnie ostrzegano ich o zbliżającym się wyłączeniu silników, jednak Allen nie kojarzył tego z zanikiem ciężenia.

Wiedział, że aby zapewnić ciężenie, statek powinien się obracać jak pocisk wystrzelony z rewolweru lub mieć obrotowe pierścienie mieszkalne. To teoria, ale poruszając się we wnętrzu statku płątaniną korytarzy, trudno było stwierdzić, gdzie jest przód, gdzie tył i czy to wszystko się obraca, czy nie. Rozczarowało go, że w części dostępnej dla pasażerów nie ma okien. Nie tylko nie mógł rzucić ostatniego spojrzenia malejącej w oddali matce Ziemi, ale nawet nie czuł, że się przemieszcza.

Bilet na podróż frachtowcem był tani. Za miejsce na bardziej komfortowym statku pasażerskim musiałby zapłacić co najmniej pięciokrotnie więcej. Kiedy przed startem siedział

na miękkim fotelu na wprost atrakcyjnej dziewczyny z biura podróży, nie widział powodu do uszczuplania swoich skromnych oszczędności. Teraz, z perspektywy dwutygodniowego zamknięcia w zardzewiałym pudle, wyglądało to już zupełnie inaczej. Nie miał do niej żalu, nie namawiała go wcale na podróż frachtowcem. Wprost przeciwnie – próbowała mu wcisnąć bilet trzeciej klasy. Statki pasażerskie przez część podróży przyspieszały, przez drugą część hamowały. Podróż trwała krócej, no i przez większość czasu było ciężenie.

Wybrał sam i mógł mieć pretensje do siebie. Siedział teraz uczepony jedną ręką jakiegoś uchwytu, drugą próbując złapać w torebkę własne wymiociny. Nie on jeden rzygał, toteż zapach unoszący się w powietrzu był mało przyjemny. Wymienniki powietrza ustawiono na minimum, do tego stopniowo zmniejszano ciśnienie, by ułatwić późniejszą aklimatyzację. Po dwu dniach bez ciężenia wszyscy, nawet ci, których żołądek się nie buntował, stracili apetyt.

Dla pasażerów przeznaczono trzy kajuty z piętrowymi kojami i wiecznie przygasającymi lampami, które dawały zimne, nieprzyjemne światło. Z oferty podróży tym złomem skorzystało dwadzieścia pięć osób. Zapewne równie niezamownych jak on.

Coraz mniej ludzi emigrowało na Marsa. Allen to wiedział, ale właśnie w tym upatrywał swojej szansy. Miał dwadzieścia lat i cały majątek zakodowany w mikrochipie karty kredytowej. To był może nie najbezpieczniejszy, ale na pewno najtańszy sposób przeniesienia pieniędzy do któregoś z marsjańskich banków.

Rodziców nie znał, dalszej rodziny też nie. Był sam, a rachunek ekonomiczny jego ostatnich trzech lat nie wyglądał najlepiej. Allen nie mógł zrozumieć, w jaki sposób ludzie, z którymi pracował, potrafili utrzymać siebie i rodzinę. Jeśli nie chciał wyładować w tekturowym domku pod mostem, miał do wyboru kilka rozwiązań, a Mars był prawdopodobnie najlepszym z nich. Dla wielu najtrudniejszą decyzją było

porzucenie praktyk religijnych – na Marsie były zabronione. Jednak dla Allena to nie stanowiło problemu.

Większość pasażerów prawie nie opuszczała kajut. Postanowili przevegetować podróż. Jedli, spali, trochę rozmawiali, a głównie grali albo oglądali coś na komunikatorach, które w cenie biletu dostali od biura podróży – takie urządzenia wciąż były używane na Marsie. I tu pojawiała się kolejna przykrość, o której chyba nikt wcześniej nie pomyślał – zaraz po starcie znikł internet.

Allen nie mógł znieść towarzystwa tych wszystkich ludzi. Internetu nie było, ale miał dostęp do pokładowej bazy danych. Czytał więc dużo o Marsie, chciał wiedzieć jak najwięcej o swoim przyszłym domu. Od zawsze lubił czytać.

Czasem wędrował korytarzami i zaglądał wszędzie, gdzie tylko mógł. Raz wszedł niechcący przez właz techniczny do jednej z ładowni. Po brzegi wypełniały ją silniki spalinowe, opakowane w drewniane ramy. Po co silniki spalinowe na Marsie? Tam przecież nie ma paliw kopalnych.

— Połknij to. — Czarnowłosa dziewczynka przerwała mu rozmyślenia. Wyciągała do niego dłoń z szarą pastylką.

Uniósł wzrok, koncentrując się na jej palcach. Było mu już wszystko jedno. Wziął pastylkę i przyjrzał jej się z bliska.

— Pomoże, jeśli dasz jej wystarczająco dużo czasu — usłyszał.

Włożył ją do ust i połknął bez popijania. Powstrzymał kolejną falę nudności.

Kwadrans spędził na walce z żołądkiem. Potem poczuł się lepiej. Płynąc od ściany do ściany, odnalazł małą w mesie.

— Dzięki. — Uśmiechnął się. — Chyba działa.

— Kosztuje grosze, można takie kupić w każdej aptece. Znalazłam właśnie zapasowe opakowanie i rozdaję wszystkim. Jessica — przedstawiła się, wyciągając dłoń.

— Allen. — Ucisnął jej drobną rączkę, unosząc się na środek sali. Głupio to wyglądało, bo zamiast kontynuować rozmowę, szukał podparcia, by chociaż pozostać przodem do rozmówczyni.

Ona jednak, niezrażona, kontynuowała:

— Podróżuję z mamą i bratem. Tato jest na Marsie od trzech lat. Nie mogę się już doczekać lądowania, bo tutaj jest strasznie nudno. Nic się nie dzieje.

— Nudno, ale lepiej, że nic się nie dzieje. — Chwyć się obudowy lampy. — To znaczy, że jeszcze żyjemy.

Mówił poważnie, ale ona zaśmiała się, biorąc to za żart.

— Jak to?

— Mam na myśli awarię. Rozważałem też przed odlotem teorię, że nie ma żadnej kolonii, a statki otwierają luki i po prostu wyrzucają emigrantów w przestrzeń kosmiczną. Potem wracają po następny ładunek. O rany... — Zorientował się, z kim rozmawia. — Nie chciałem cię wystraszyć, przepraszam.

Zmarszczyła brwi. Czarne włosy, niewinna buźka, porządne ubranie. Zapewne traktowała tę podróż jak zabawę. Tylko czemu mamusia wybrała taki substandard? Nie zapytała. Wolała uniknąć identycznego pytania z jej strony.

— Byłeś kiedyś na Marsie? — zapytała.

— Nie, ale... dużo czytałem.

— Czy to prawda, że tam wszyscy są o połowę lżejsi? — zapytał mały chłopczyk, podlatując do nich tak sprawnie, jakby to robił od dawna.

— To mój brat, Jared — przedstawiła go dziewczynka.

— Będę archeologiem — oznajmił.

Powiedział to z niezwykłą pewnością siebie.

— Wybrałeś złą planetę — odparł Allen. — Na Marsie nikogo przed nami nie było. Może bakterie, miliardy lat temu.

— Byli Marsjanie!

— Jak ich znajdziesz, pierwszy ci pogratuluję. Co do ciążenia, to po kilku dniach się przyzwyczaisz, a kiedy wrócisz na Ziemię, będzie ci się wydawało, że na plecach nosisz drugiego siebie.

— My nigdy nie wrócimy na Ziemię — powiedział malec, poważniejąc.

2

Allen zamknął oczy i zaciągnął się rzadkim, ciepłym powietrzem pachnącym przegrzanym metalem powierzchni kadłuba. Przypomniawszy sobie historię pierwszych ludzi na Marsie. Kobieta i mężczyzna przylecieli tu, by zatknąć gwiazdzisty sztandar i flagę zjednoczonej Europy. Nie chcieli potem zdradzić, którą flagę wbili najpierw.

— Tutaj będę żył i tutaj umrę — powiedział cicho, wodząc wzrokiem po horyzoncie.

Inni pasażerowie nie dali mu się dłużej delektować pierwszą chwilą nowego życia. Potrącali go, mrużąc pod nosem nieuprzejme uwagi. Westchnął i razem z nimi ruszył stromym trapem, rezonującym w rytmie kroków. Marsjański wiatr rozwiewał jego jasne włosy.

Uderzenie gorąca nie było spowodowane upałem, to osłony radiacyjne w seriach trzasków i głuchych uderzeń oddawały nadmiar ciepła. Kiedy ich stopy dotknęły ziemi, poczuli jeszcze żar bijący od nagrzanego silnikami płyty lądowiska. Ciągnęła się daleko, przechodząc płynnie w pomarańczoworudą pustynię. Chyba od dawna nikt tu nie sprzątał, bo na betonie tworzyły się niewielkie ruchome wydmy wyglądające jak żebra. Lądujący statek oczyścił z piachu obszar

o średnicy stu metrów, usypując na jego krawędziach wał wyższy miejscami od człowieka. Allen szukał wzrokiem miasta, ale poza odległym terminalem, pustynią i wiszącym nad nią fioletowo-różowym niebem, niczego nie dostrzegł.

Im dalej od statku, tym mocniej czuć było chłód zbliżającego się wieczoru. Allen obejrzał się. Nocą na Florydzie, w strugach ulewnego deszczu, niewiele widział. Dopiero teraz oglądał statek z zewnątrz. Na średniej wielkości klasycznym frachtowcu ledwo wypatrzył wymalowaną białą farbą nazwę – „November Rain”. Kadłub, wysoki na jakieś sto dwadzieścia metrów, rozszerzał się na dwóch trzecich wysokości i zwężał łukiem ku górze. Kontrastowe światło zachodzącego słońca kładło ostre cienie na obłych wybrzuszeniach i guzach, kryjących bliżej nieznanne szczegóły wnętrza. Powietrze wokół drgało. Cztery wielkie, szeroko rozstawione podpory utrzymywały gasnące czerwienią dysze kilka metrów nad ziemią. Rzadki, niebieskawy dym unosił się wzdłuż kadłuba, wyżej dawał się porwać wiatrowi.

Kilometr dalej stał identyczny frachtowiec i dwa statki pasażerskie klasy 500. Większe jednostki w ogóle nie wchodziły w atmosferę. Okrężały planetę, zrzucając ładunek w cylindrycznych kontenerach, które spadały, rozżarzając się do białości w górnych warstwach atmosfery, by potem wypuścić spadochrony i uderzyć w pustynię gdzieś z dala od miast. Statki, uwolnione od ciężaru, wykorzystywały grawitację Marsa, by przy minimalnym zużyciu paliwa wrócić na Ziemię. Zawartość kontenerów zabierano kopterami bądź transporterami. Nic się nie marnowało – wykorzystywano nawet same kontenery i ich spadochrony.

Jednak nie każdy ładunek mógł przetrwać lot przez atmosferę i uderzenie w grunt. Średnie jednostki zawsze będą potrzebne.

Allen dogonił resztę grupy. Ponieważ jego bagaż ograniczał się do plecaka, pomógł starszej kobiecie nieść ciężką torbę. Nie było tu portu kosmicznego w ziemskim rozumie-

niu. Nikt nawet po nich nie wyjechał. Jak się zastanović, to decydując się na emigrację do nieco zacofanego świata, tego właśnie należało się spodziewać.

Pasażerowie, narzekając, szli w stronę odległego o pół kilometra, skonstruowanego z kilku kopuł, budynku z napisem „New London”. Pod stopami zaczynał chrzęścić nawiewany znów piasek. Szli wolno; mimo pozornej lekkości ciał, już brakowało im tchu. Nie przyjechał po nich żaden pojazd. Racje żywnościowe dla człowieka poruszającego się pieszo były przecież takie same, jak dla przywiezionego. Marsjańska rzeczywistość. Jedynie z boku statku zatrzymała się limuzyna, przypominająca pojazd terenowy. Widocznie na pokładzie byli też jacyś ważniejsi pasażerowie.

Tuż przed budynkiem portu minęli kilka kopterów, przycumowanych linkami do ziemi. Allen miał wrażenie, że bez trudu doskoczyłyby do rotora wiszącego cztery metry nad ziemią.

Zanim wszedł do hali portu, rzucił ostatnie spojrzenie na „November Rain”. Za dwa dni frachtowiec wystartuje w drogę powrotną. Potem, na blisko półtora roku komunikacja z Ziemią ustanie. Koniec sezonu tłumaczył pustki i senną atmosferę.

Wnętrze hali wyglądało imponująco. Dopiero tutaj widać było, że budynki portu są ogromne, tylko zagłębione na kilka kondygnacji w ziemi.

Z dwudziestu stanowisk odprawy paszportowej pracowało tylko jedno. W szczycie sezonu, kiedy Ziemia i Mars zbliżały się do siebie, przewijało się tędy kilka tysięcy osób dziennie.

Allen doczekał się na swoją kolej. Znudzony oficer zadał kilka rutynowych pytań, choć chyba nie był zainteresowany odpowiedziami.

— Witamy na Marsie. — Wręczył Allenowi nową kartę ID z flagą po jednej stronie, a zdjęciem i informacjami po